



**AUGUSTYN
PEŁAŃOWSKI
ODEJŚCIA** OSPPE

paganini

O książce

Tonie jest książką z cyklu „Alleluja idoprzodu!”. To książka o wycofaniu, odejściu. Drażące Biblię teksty o. Augustyna Pelanowskiego prowokują, wyprowadzają z równowagi, budzą z letargu.

Pozwalają zrozumieć zdumiewające słowa Jezusa: Pożyteczne jest dla was moje odejście.

„Syn Boży dużo uczynił dla nas przychodząc jako człowiek, ale również Jego odejścia mają swój duchowy przepych. Wydaje mi się, że o wiele więcej uczynił odchodząc przez śmierć i zmartwychwstanie od uczniów niż przychodząc do nich jako rabbi z Nazaretu. Oczywiście jedno bez drugiego nie mogłoby zaistnieć.

Gdy Jezus odchodził z jakiegoś miejsca, zawsze dochodziło do jakiegoś rozwoju, uzdrowienia, objawienia, obfitości”.

o. Augustyn Pelanowski

augustyn
pelanowski
osppe

odejścia

wydanie
elektroniczne

paganini

Augustyn Pelanowski OSPPE

paulin, ojciec duchowny, rozmiłowany w Słowie Bożym zawartym w Biblii, nieustrudzony rekolekcjonista i kaznodzieja, spowiednik.

Jak sam pisze: „Moim dziełem, które napędza mnie do życia jest głoszenie Ewangelii. Spisuję dzieło mojego życia dzień po dniu, bo zależy mi, aby inni uwierzyli Jezusowi”.

Autor licznych książek:

Bestie i prorok,

Wolni od niemocy,

Umieranie ożywiające,

Odejścia,

Dom w Bogu,

Sen Józefa,

Życie udane czy udawane

oraz komentarzy do Ewangelii:

Zranione Światło,

Fale łaski,

Głębiny miłosierdzia.

Skład i projekt okładki:
Marcin Jakimowicz

Korekta: Kinga Wenklar

Nihil obstat

O. Izydor Matuszewski
Generał Zakonu Paulinów
(L.dz. 564/08 Jasna Góra 08.10.2008 r.)

© Copyright: **paganini** Kraków 2008
© Copyright: Augustyn Pelanowski 2008

ISBN 978 83 89049131
ISBN pdf 9788389049278
ISBN epub 9788389049285
ISBN mobi 9788389049292

paganini

ul. Batorego 19
31–135 Kraków
tel./fax: 0 12 623 71 81
tel. 0 12 423 42 77
sklep@paganini.com.pl
www.paganini.com.pl

Spis treści

Wstęp	7
1. Bóg się wycofał	8
2. Prawdziwe kłamstwa	21
3. Wycofanie	27
4. Doskonale!	36
5. Efraim	74
6. Bemidbar	85
7. Jezus odszedł	89
8. Chleb i kwas	91
9. Anachoreo	101
10. Magowie, Henoch...	120
11. Odejdźcie ku miłosierdziu	135
12. Odejdźcie ku modlitwie	155
13. Odejdźcie w pokorę	180
14. Odejścia ku uzdrowieniu kobiety	228
15. Teszuwa!	248
16. Odejdźcie, by przyszedł Duch!	276
17. Przyjęcie Ducha Świętego	278
18. Modlitwa	306

Wstęp

Ta książka nie jest podręcznikiem ani poradnikiem. Być może ktoś mi zarzuci zbyt osobisty styl: „Ten gość pisze tylko o sobie”. Ale nie mam prawa pisać o kimś, albo za kogoś, albo z dystansu naukowca. Jeśli pojawią się tu fragmenty dotyczące innych osób, to tylko dlatego, że te osoby pozwoliły mi na to. Piszę o nich w tak anonimowy sposób, że nikt nie dowie się, o kogo chodzi. Jedyna osoba, o której mam prawo pisać wprost, zarówno dobrze, jak i źle, to ja sam. Moja książka to zwykła medytacja biblijna z akcentami egzystencjalnymi. A skoro jest to rodzaj medytacji, to musiała ona przyjąć formę osobistą. Dlaczego ją napisałem? Żebyś choć trochę uwierzył, że masz szansę, albo przynajmniej przestał myśleć, że nie masz już szans.

Nie liczę na to, że cię zupełnie przekonam. Może w ogóle nie uda mi się ciebie przekonać, a może tylko trochę. Na pewno też jest w tej książce trochę błędów. Nie jestem nieomylny, szukam prawdy, jak każdy. Wierzę w to, że Ojciec z Nieba ma plan wobec nas i z każdego położenia, w którym się znajdziemy, jest w stanie uczynić drogę do Niego. A dojść do Niego jest najważniejszym sukcesem człowieka. Pan Bóg najwięcej obiecał tym, którym dał najmniej szans na tym świecie. Dla nich ma największą obietnicę. Obietnicę, która nie potrzebuje żadnej szansy. Dorastamy do Królestwa Niebios dzięki temu, co nas przerasta.

Bóg się wycofał

Bóg się **wycofał**, gdy stwarzał świat! Mistycy zadawali sobie pytanie: jak Bóg, który jest doskonały, mógł stworzyć świat, który jest pełen niedoskonałości? Ukuli więc pojęcie CIMCUM (samoograniczenie). Stwórca ograniczył swoją pełnię i w tym akcie stworzył niedoskonałą rzeczywistość. Ograniczając się, czy też wycofując się ze swej nieograniczonej woli, uczynił jakby wolną przestrzeń dla stwarzanego świata, który został określony granicami. Jak gdyby *skurczył się*. Stworzył to, co widzialne, by On, niewidzialny, mógł poprzez stworzenie być dostrzegany. Jeśli jest dzieło, to musi być i stwórca! Stworzył, wycofując swoją moc, albo inaczej mówiąc, ograniczając siebie samego. Rabin Jechiel Bar Lew tłumaczy ten akt stworzenia następującym przykładem: „Pewien człowiek miał niezwykle silne ręce. Jednak kiedy trzymał ciężki młot, nie wykorzystywał tej samej siły, co wówczas, gdy pisał delikatnym piórem. Kiedy ów człowiek pisał piórem, z ostrożnością, wówczas ograniczał swą moc”¹. To, co zostało napisane tym delikatnym piórem, to nasz ograniczony świat. Silne ramię tego człowieka to nieograniczona potęga Boga. Czym jest młot w tym porównaniu? Czy możemy twierdzić, że to, co zostało napisane piórkiem, jest jedynym światem stworzonym przez Boga? Bóg zapisał ten świat, jakby pisał piórem trzymanym

w palcach na pergaminie kosmosu. Pisał słowa boskiej delikatności.

„Gdy patrzę na Twe **niebo**, dzieło Twych palców, księżyc i gwiazdy, któreś Ty utwierdził: czym jest człowiek, że o nim pamiętasz, i czym – syn człowieka, że się nim zajmujesz?” (Ps 8,4-5).

Wszystko na tym świecie jest tylko zapisem, jakby napisane piórem na papierze. Wszystko jest tylko obwieszczeniem a nie spełnieniem, obietnicą a nie wypełnieniem, każdy byt tego świata da się zapisać słowami, liczbami, symbolami, literami, nutami, wzorami, kodami, choćby tymi, które kryje genom.

W dzieciństwie miałem książkę o majsterkowaniu. Były tam kolorowe ryciny i przystępny opis, w jaki sposób wykonać pokazane na obrazku rzeczy. Ale ryciny i opisy to nie to samo, co rzecz!

Być może świat jest też rodzajem filtra, dzięki któremu mogli ludzie na początku poznać Boga ukrytego? Tak sugeruje Paweł w liście do Rzymian, i to na samym początku. Nie można na słońce patrzeć gołym okiem. Przez przyciemnione szkiełko – rodzaj filtra – mogę bezpiecznie, bez obawy oślepienia, przyglądać się światłości. Ograniczam możliwość widzenia, by móc w ogóle spojrzeć w stronę słońca. Myślę, że pewnego rodzaju *filtrem* było też Słowo Boga objawione w Pismach, a nade wszystko Ciało Chrystusa. Bóg stając się człowiekiem, stał się kimś widzialnym i ograniczonym. Podobnie chyba jest

z Ciałem eucharystycznym. Paradoksalnie zasłonił i ograniczył do kawałka chleba swoje bóstwo, by było ono postrzegalne dla ludzi, którzy nie mogą Go widzieć bezpośrednio. Bóg więc, by się objawić, musiał niejako *odejść*, albo *wycofać się*, czy też *ograniczyć się*, do skrajnie skromnej postaci. Bóg doprawdy bardzo ograniczył swój majestat, gdy ukrył się w delikatnym Ciele eucharystycznym, w najskromniejszym ze sposobów swej obecności. To nie tylko Najświętszy Sakrament, ale też najskromniejsza Eucharystia! Skurczył się do tak niepozornej obecności, ponieważ chciał być dostępny przede wszystkim dla tych, których los pomniejszył do wymiarów najniższych, do świadomości bycia powszednim bytem, nikim szczególnym. Iluż z nas czuje się, jak kromka chleba, którą inni nadgryźli? Albo porzucili na korzyść przysmaków? Aż trudno w to uwierzyć, że Bóg zechciał być czymś do zjedzenia!

Nie musimy się zgadzać z mistykami co do innych nauk, ani nawet co do tej jednej, ale sądzę, że wiele prawdy jest w tym myśleniu zawarte.

Oddalamy się niekiedy dla zyskania lepszego oglądu rzeczywistości. Na przykład artysta malując obraz, co jakiś czas robi kilka kroków do tyłu, by z oddalenia przyjrzeć się całości malowanego przez siebie płótna. Ogranicza się tylko do obserwacji, wycofując się z działania. Nikt przecież nie twierdzi, że to porażka w akcie twórczym artysty! Z bliska widzi tylko detale, ale nie widzi całości. Oddalamy się co jakiś czas na rekolekcje, by w klimacie modlitwy przyjrzeć się sobie i Bogu i wyciągnąć wnioski dzięki

słuchaniu słów Boga i własnych przemyśleń oraz modlitwy. Nie zawsze więc oddalenie jest czymś złym. Nie zawsze odejście jest wycofaniem, nie zawsze wycofanie się jest przegraną, czasem to strategia prowadząca do zwycięstwa. Wielu chrześcijan oddala się za klauzurę, w cień klasztoru, by tu wpatrywać się w Oblicze Jezusa, ale też by z oddalenia przypatrzeć się sobie, z dystansu spojrzeć na świat, podobnie jak artysta, który czyni kilka kroków do tyłu, by z dystansu ogarnąć swoim wzrokiem całe dzieło namalowane na płótnie. Bóg nie tylko stworzył świat, wycofując się, ale też zbawił go ograniczając swoją moc na krzyżu, którego użył jak **młota** wykuwając świat, którego nie widzimy – Nową Ziemię i Nowe Niebo! Przybijano Go do krzyża zapewne używając młota! Widzę to już w tym momencie, gdy Jezus nakazuje jednemu ze swych apostołów schować miecz, czyli wycofać się z użycia siły. Zrezygnować z jakichkolwiek atrybutów potęgi. Zresztą zaraz potem tłumaczy, że mógłby sam poprosić Ojca o ekipę antyterrorystyczną aniołów, ale wtedy nie spełniłyby się Pisma, udaremniając plan Boga. Co najwyżej spełniłyby się ludzkie marzenia. Kiedy to wypowiedział, wszyscy Go opuścili. Zostaje opuszczony nawet przez ludzi, których kochał i którzy go kochali. To początek ostatniego etapu оголошення.

„A oto jeden z tych, którzy byli z Jezusem, wyciągnął rękę, dobył miecza i ugodziwszy sługę najwyższego kapłana odciął mu ucho. Wtedy Jezus rzekł do niego: «Schowaj miecz swój do pochwy,

bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Czy myślisz, że nie mógłbym poprosić Ojca mego, a zaraz wystawiłby Mi więcej niż dwanaście zastępów aniołów? Jakże więc spełnią się Pisma, że tak się stać musi?». W owej chwili Jezus rzekł do tłumów: «Wyszliście z mieczami i kijami jak na zbrojce, żeby Mnie pojmać. Codziennie zasiadałem w świątyni i nauczałem, a nie pochwyciliście Mnie. Lecz stało się to wszystko, żeby się wypełniły Pisma proroków». Wtedy wszyscy uczniowie opuścili Go i uciekli” (Mt 26, 51-56).

Jego wola wycofania się z potęgi i ograniczenia swej mocy dosięga szczytu, albo może lepiej – bezdenności, w chwili, gdy na krzyżu rozlega się: Boże, czemuś mnie nie opuścił? Czy opuścił? Bóg w ludzkim ciele, ograniczonym i umęczonym, wykrzykuje najbardziej ludzkie słowa, wyrażające zwątpienie w opiekę Boga. Czy po tym okrzyku ktoś może jeszcze czuć się samotny na tym świecie? Opuszczony przez Boga? A jeśli nawet, to właśnie Bóg w swoim Synu dosięgnął ludzkiego opuszczenia!

Zbawienie, najwspanialsze dzieło Boga, wspanialsze od stworzenia, dokonuje się więc w wycofaniu się Boga ze swej mocy, w osiągnięciu bezdennej słabości i bezsilności stworzenia.

Zbawił nas powstrzymując się przed użyciem swej potęgi, wręcz ogałając się: „On, istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do

ludzi. A w zewnętrznym przejawie, uznany za człowieka, uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci – i to śmierci krzyżowej. Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył i darował Mu imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich i podziemnych” (Flp 2, 6-10).

Ten przepiękny tekst z listu do Filipian jest nie tylko brzemienny w teologiczne objawienia, ale też pełen egzystencjalnych podpowiedzi. To jest przepis na sens życia. Ogołocenie jest wstępem do posiadania wszystkiego, ogołocenie jest wstępem do królowania, uniżenie do wywyższenia. Ujawnia się w tym momencie prolog chrześcijańskiego dążenia do celu istnienia. Nie jest to bajka o Kopciuszku, tylko prawda o tych, którzy w Chrystusie złożyli swój ogołocony, czy też ograniczony i uniżony, los. Lokata na wieczność. Kiedy chcesz wszystkie oszczędności umieścić w banku, to od chwili umieszczenia ich w sejfie **nie masz nic!**

Zauważyłem już dość dawno temu na kartach Biblii bardzo charakterystyczny schemat. Prawie w każdym rozdziale tej Księgi pojawiają się dwie postacie, często bracia albo krewni, przyjaciele, którzy nagle stają się wrogami lub rywalami. Zwykle pierwszy jest silniejszy i doskonalszy pod względem fizycznym lub prowadzi udane po ludzku życie. Drugi to ktoś wzgardzony, nieudacznik, bez perspektyw na sukces. Abraham miał dwóch synów. Izmael był pierwszy, silniejszy. Gdy pojawił się jego przyrodni brat Izaak, Izmael wyśmiewał się z niego. Ale nie

Izmael odziedziczył bogactwo duchowe ojca, tylko wyśmiewany Izaak. Izaak miał dwóch synów: Ezawę i Jakuba. Ojciec kochał Ezawę, bo ten był pierworodny, ale również doskonale radził sobie z życiem jako szczęśliwy myśliwy. Zabieganie o miłość ojca oddaliło go jednak od miłości Boga. Udana miłość ludzka zwykle zamyka nas na odkrycie, a nawet zainteresowanie miłością Boga. Skończyło się na tym, że mniej kochany syn, Jakub, ukradł błogosławieństwo i choć od pewnego momentu życia był kulawy, dalej zaszedł niż zdrowonogi Ezaw. W rodzinie Jakuba historia się powtarza. Nie pierworodny Ruben, ale znienawidzony przez braci Józef otrzymuje błogosławieństwo Boga. Mimo niewoli i zdrady rodzeństwa, zostaje zarządcą Egiptu. Ciekawe, że gdy Józef został wielkim *safnat paneach* – zarządcą Egiptu, uwaga Ducha Świętego odwraca się od niego i koncentruje na przewrotnym Judzie – nieciekawym kłamcy. Podobny schemat zarysowuje się pomiędzy Dawidem a Saulem. Nie dziwię się też wszystkim kobietom, którym Biblia czyni honory. Zawsze miały ogromne problemy z rodzeniem dzieci. Sara została nazwana *bezpłodną*: עקרה *aqrach* – dosłownie: *podcięta lub wykorzeniona, zraniona, nieużyteczna*. Podobnie Rebeka nie mogła przez dwadzieścia lat wydać na świat potomstwa. Dla ludzi Wschodu taka bezpłodna egzystencja jest bezsensowna. Przez wiele lat nie miała poczucia efektywności i zapewne zmagiała się bardzo z poczuciem wartości.

Bezpłodność Rebeki spowodowała u niej jednak płodność myślenia, modlitwy, mnogość istotnych

pytań. Życie staje się wewnętrznie bujne, gdy natrafia na zewnętrzną przeszkodę. Napisano o niej w ten sposób: „a gdy walczyły w jej łonie dzieci, **pomyślała...**” (Rdz 25, 22). Myślenie zaczyna się w wewnętrznej walce, a nie w świętym spokoju i powodzeniu. A jeszcze dalej: „i poszła zapytać Pana...”. W tym samym rozdziale jest mowa o żonie Abrahama, która miała na imię Ketura. Ketura nigdy nie pytała Boga o nic, ponieważ zawsze dawała sobie radę ze wszystkim. Płodziła dzieci jedno po drugim, bez żadnych trudności. Udawało się jej wszystko, jak matrycy do gofrów. Jej synowie byli zdrowi, silni i nie mieli żadnych problemów. Ale o Keturze Biblia nie napisała, że się zastanawiała albo modliła czy zadawała sobie albo Bogu jakiekolwiek pytania. Była bezmyślną karierowiczką.

Ludzie, którym udaje się to życie, nie cechują się myśleniem, tylko kalkulowaniem. Rachela nie miała takiej płodności jak jej siostra Lea, ale za to urodziła Józefa i była bardziej kochana przez męża. Anna, matka Samuela, przeżyła wiele upokorzeń, zanim wydała na świat pierwszego z wielkich proroków królestwa. Tak jakby Bóg wyjątkowo honorował tych, którzy zmarnowali swoje życie albo zostali zdystansowani przez innych. Ale zdaje się, że nie chodzi tylko o zwykłą sprawiedliwość, ale raczej o odkrycie innego bogactwa, drugiego planu świata – Królestwa ukrytego za wzorzystą kurtyną fizycznego uniwersum. Świat, w którym żyjemy, jest tylko **opakowaniem** wszechświata, w którym Bóg jest ukryty. Najbliżsi ukrytemu Bogu są ci, których

niepowodzenie boleśnie wcisnęło z powierzchni opakowania do wnętrza. Henri de Lubac obnażając pokusy drenujące Kościół zapisał wspaniałe i bardzo proste słowa: „Trzeba pójść aż do końca za logiką Wcielenia, przez które boskość dostosowuje się do ludzkiej słabości. By posiadać skarb, konieczne jest kryjące go gliniane naczynie, poza którym skarb się rozprasza. Należy przyjąć to, co święty Paweł – któremu nieobce były przeciwnie pokusy – nazywał prostotą w Chrystusie. Trzeba być bez zastrzeżeń bożym plebem”². De Lubac idealnie wychwycił przesłanie Wcielenia zaadresowane do nas wszystkich: Syn Boga nie objawił się w majestacie i potędze, mądrości i zachwycie, ale w *glinianej powłoce* ciała małego dziecka i nawet gdy stał się dojrzałym mężczyzną, nie ośmielił się nigdy wywyżżyć się ponad kogokolwiek. A nasze niezadowolenie z życia często wypływa właśnie z zatrutego źródła: nie jesteśmy tacy dobrzy jak inni!

Ale gdybyśmy byli lepsi – czy byłoby to lepsze dla nas? Czytając więc przypowieść o faryzeuszu i celniku, którzy przybyli modlić się do świątyni, wcale nie dziwię się, że został usprawiedliwiony ten, który nie miał czym się pochwalić, ale był zdolny do autentycznej skruchy. Łukasz napisał o nim, iż *stał z daleka*. Brzmi to tak, jakby był zdystansowany przez samozadowolenie faryzeusza. Albo czytając o synu marnotrawnym wcale się nie dziwię, że ten, który wszystko zmarnował, pozwolił się ojcu przytulić w ramionach i wszedł do wnętrza domu. Ojciec zobaczył go *z daleka*. Czy trzeba się oddalić, by być

widocznym dla Boga? Natomiast starszy syn, który niczego nigdy nie stracił, nie mógł zejść z pola. Wnętrze domu było dla niego niedostępne. Nie zawsze szerokie pole do popisu daje szczęście.

Wiele lat temu przebywałem w pewnym domu zakonnym, którym opiekowały się dwie siostry. Jedna z nich domagała się, żeby ją nazywać dyrektorką. Były tylko dwie, a ona nie potrafiła sobie odmówić tego *opakowanego* tytułu! To tak, jakby z powodu korony na zębach domagać się od innych zwrotu: wasza wysokość.

Ludzki los jest nie zawsze ekspansywny. Nie zawsze jest tak, że życie idzie szczęśliwie do przodu. Coraz częściej spotykamy ludzi, których istnienie się kurczy. Ich linia postępowania załamuje się, zraniona przez machinę cywilizacyjną, galop za zarobkami, ubieganie się o miłość, dobrobyt, karierę czy piękno ciała. Są niekiedy zamknięci przez wyjątkową krzywdę, przemoc psychiczną lub seksualną, a także odrzucenie. I coraz częściej ludzie ci po prostu się wycofują, zamykają w sobie, obwarowują się licznymi zabezpieczeniami. Ograniczają się, bo ktoś od nich był lepszy, pierwszy. Ich istnienie kurczy się, maleje, staje się drugoplanowe. Ale czy to oznacza, że coś beznadziejnie fatalnego z nimi się dzieje? Nie wyglądają na budzące podziw opakowania, ale może za to ukrywają w swoich mrokach rezygnacji jakąś tajemniczą i nieodkrytą nadzieję? Może po prostu nie widzą nowego etapu swojego istnienia? Może tylko nie umieją odkryć, że dzieje się coś wspaniałego? Gdy nie widać żadnej perspektywy na

dalsze istnienie na pewnym poziomie, to może to ograniczenie jest początkiem nowego świata? Być skurczonym od poniżenia to być pomniejszonym do rozmiarów wymaganych przez Jezusa – najmniejsze dziecko stawiał przed apostołami jako wzór! Dla wielu jest to dowód fiaska, ale od czasów Ewangelii właśnie takie pomniejszenie siebie było celem ubóstwa duchowego. „Kto wie, jak żyć w ubóstwie i cierpieć dla Pana i pragnie mieć raczej mniej niż więcej, ten zyskuje głębszy pokój i większą radość u Boga”³. Tysiące ludzi narzeka i dręczy się tym, że są gorsi od innych w czymkolwiek. Ale czy nie to właśnie powinno się zobaczyć w sobie? Czy nie jest to celem duchowego poznania siebie samego w Obliczu Boga? „Istotnie, jeśli wszystko rozważysz i spojrzysz w siebie w prawdzie, słusznie osądzisz, że jesteś gorszy od wszystkich”⁴.

Zupełnie na marginesie, czyli w... uprzywilejowanym miejscu, muszę dodać pewne wyznanie. Nigdy nie czułem się tak zmotywowany do bycia najmniejszym, jak po przeczytaniu świadectwa życia Erzsebet Galgóczy. Dziewczyna od najmłodszych lat była prześladowana bolesnymi nieszczęściami, które kaleczyły jej fizyczne ciało, a mimo wszystko potrafiła prosić Jezusa, aby następny dzień był trudniejszy niż poprzedni. Czy można prosić o to, by następny dzień był trudniejszy niż dziś? Można, jeśli się zrozumie, że przyjmowanie trudu istnienia ułatwi komuś niebo. Już po przeczytaniu kilku kartek tej książki odczułem wstyd, który mnie pomniejszył, skurczył moją duszę, jakby mnie wycofał w jakiś

ciemny kąt wszechświata. Czułem się zawstydzony, ponieważ zdałem sobie sprawę, że dotychczas niczego jeszcze nie uczyniłem z miłości do Jezusa lub do drugiego człowieka. Żadna książka nie uświadomiła mi tego z tak porażającą oczywistością. Żadna z tych, które przeczytałem, może nawet ze łzą w oku, nie rozszyfrowała mnie jako człowieka, w którym nie ma ani jednej łzy autentycznego współczucia. Wyznania Erzsébet Galgóczy nie są lekturą, po której się zasypia w spokoju. To są słowa, po których trudno człowiekowi w ogóle zasnąć. Czytałem je tak, jakbym słyszał słowa Jezusa, który przychodząc do apostołów leżących pod oliwkami w Get Szemane, wołał do nich: Czuwajcie, abyście nie ulegli pokusie! Z tym, że po przeczytaniu słów skromnej mistyczki inaczej jawi mi się słowo *pokusa*. Przestałem je rozumieć jako jedynie bezpośrednią zachętę do grzechu, a pojąłem ją jako zdystansowanie się od odpowiedzialności, by od zła uwolnić innych ludzi, przyjmując je na siebie jak Jezus.

To, że się jest nędznym, nie powinno budzić w nas oburzenia i rozpacz, tylko skrucę i pogodzenie. Prawda, nawet jeśli smutna, jest lepsza niż kłamstwo, które raduje. Dlatego jest chyba odległe od chrześcijaństwa to, co nazywają niektórzy budowaniem swojego poczucia wartości. Mam na myśli przede wszystkim te narcystyczne tendencje, które eufemistycznie klasyfikuje się jako pracę nad poczuciem wartości. To wcale nie jest prawdą, że jesteśmy lepsi od innych, zawsze mamy wspaniałe pomysły, akceptujemy swoje cechy fizyczne,

jesteśmy dumni nawet z najmniejszych osiągnięć, doceniamy swoje zalety, zawsze jesteśmy oryginalni, akceptujemy wszystkie swoje emocje i potrafimy je wyrażać w jawny sposób, odrzucamy fałszywe opinie na swój temat, wyrażamy się o sobie tylko w sposób przychylny, zakładamy, że jesteśmy lubiani, wartościowi dla świata. I nieprawdą jest, że jesteśmy pewni siebie. Mamy uwierzyć w swoją doskonałość czy w doskonałość Boga?

Nie spotkałem w Biblii żadnej osoby, która by mieściła się w ramach wyznaczonych przez wspólczesne poradniki typu *Obudź w sobie olbrzymia*. Przez jakiś czas oczywiście można się łudzić albo udawać, że jesteśmy bardzo udani, ale potem i tak wyjdzie na jaw nasz grzech, nasza podłość, albo jeszcze coś gorszego. To nieprawda, że można zadowolenie z własnej doskonałości osiągnąć na zawsze. Można jedynie przez jakiś czas chodzić na palcach jak baletnica, ale potem bardzo boli wspinanie się ku prawdziwej wielkości. Dążenie do fantastycznych celów jeszcze bardziej wpędza nas w niepokój i lęk oraz w depresję i samoodtrącenie. Zrezygnować, wycofać się i oddalić od siebie wyobrażenie o zawsze fantastycznym losie – to jest nie tylko zdrowe, ale i chrześcijańskie.

Kiedy Jezus mówi do Piłata: „Królestwo moje nie jest z tego świata”, to rozumiem tę wypowiedź w następujący sposób: Sukces mój nie jest na tym świecie. Sukces czeka, ale nie na tym świecie. Sukcesem jest *tamten świat*, a ceną stopniowe wycofanie się z tego świata, które nazwiemy wzrastaniem w skromność.

Prawdziwe kłamstwa

Czynimy wiele, żeby poczuć się lepszymi od innych, bo w tym upatrujemy sukces, ale to nie jest droga ewangeliczna. Niebezpieczne jest kłamstwo, które wydaje się być prawdą. A wmawiamy sobie różne kłamstwa, które sprawiają wrażenie prawdy, po to, by nie doznać objawienia naszego wnętrza. Jak bowiem można sobie poradzić z prawdą o tym, że się jest chorobliwie zazdrosnym albo mściwym, czy też przewrotnym? Najłatwiej udawać z usilnym staraniem kogoś bardzo dobrego, miłego i szczerego.

Zauważyłem to po sobie samym – bo wiele razy stosowałem taką grę, by osiągnąć efekt uznania. Wielu ludzi zasłania się nawet przed sobą atrakcyjnymi pióropuszcami wmówionych cech, pod którymi ukrywa się zrogowaciały naskórek podłości lub po prostu grzeszności. Religijność od wieków była nadużywana jako parawan owrzodzonych sumień – Jezus nazywał to *kwasem faryzeuszów*.

Kiedy odgrywam rolę osoby bardzo duchowionej lub religijnej, mogę nie tylko zwieść innych, ale nawet samego siebie. Chciwość można nazywać oszczędnością, a rozrzutność hojnością, uzależnienie emocjonalne przyjaźnią, a próżność powagą. Można się nawet modlić tylko dlatego, by być postrzeganym jako osoba rozmodlona. Niektórym nawet udaje się manipulować wybaczeniem, by mieć odczucie

wyższości. Odgrywają rolę ofiary, by ktoś poczuł się winny i wtedy wspaniałomyślnie obdarowują wybaczeniem. Inni potrafią się poświęcać, by zobowiązywać do wdzięczności albo czuć się wspaniałomyślnymi.

Można też tak się odciąć od swych autentycznych uczuć i motywacji, że się ich w ogóle nie będzie czuło. Szczególnie mam tu na myśli złość, brak przebaczenia, nienawiść, urazę, żal, wstyd, upokorzenie, ale też próżność, narcyzm, egoizm, chciwość. Kto z nas potrafi się przyznać do tego wszystkiego? To, że nie mamy kontaktu z tymi uczuciami czy motywacjami i zaprzeczamy im, nie znaczy, że one nie istnieją. Możemy nie chcieć z czegoś zdawać sobie sprawy, ale to nie będzie unicestwiało istnienia tych rzeczywistości. Ktoś taki będzie miał szczególną tendencję do odgrywania roli miłej, pokornej i niezwykle sympatycznej osoby. Dzięki temu zdobędzie w środowisku pewne uznanie i będzie postrzegany jako wartościowa osoba. Sztuczka będzie działać, dopóki nie pojawi się ktoś stosujący identyczną strategię. Wówczas dojdzie do eksplozji.

Kilka razy w moim życiu miałem okazję zostać odartym z mojej maski. Były to przeżycia zbyt gwałtowne, ale cenię sobie je najbardziej, ponieważ zobaczyłem siebie w prawdzie. Zobaczyłem moją tendencję do szukania emocjonalnego uprzywilejowania, wykorzystywania pewnych uzdolnień i charyzmatów, by wzbudzać zachwyt moją osobą – po prostu czarowania sobą. Czułem się upokorzony tymi odkryciami i zawstydzony, ale przynajmniej

pozbawiłem się złudzeń. Nie jestem wybawcą ani aniołem. Pomaganie nieszczęśnikom tylko dlatego, by poczuć wyższość nad innymi, jest wielką pokusą dla osoby duchownej i trudno ją odróżnić od autentycznego poświęcenia. Przez jakiś czas walczyłem o dowartościowanie siebie, by czuć się pewniejszym, ale lęk staje się wtedy coraz większy.

Kłamstwo w człowieku ma historię niezwykle dobrze sytuowaną. Spotykam ludzi naprawdę cierpiących i autentycznie szukających pomocy Jezusa, ale też takich, którzy uwielbiają na przykład być ofiarami. Ciągłe powracają do starych ran albo nawet wymyślają niewiarygodne krzywdy i nieszczęścia, które rzekomo ich dotknęły, by wywołać u innych litość i troskę, może nawet rodzaj podziwu. Czują się wartościowi, ponieważ są męczennikami czy męczennikami. Wyolbrzymiają swoje cierpienie, by wzbudzić zachwyt i niecodzienne traktowanie. Inni szukają kierownika duchownego, by uczynić z niego satelitę ich narzekającego *ego*. Ale czy zawsze jest to przejaw zdrowej troski o swój rozwój duchowy? Jeszcze inni kolekcjonują modlitwy wstawiennicze krążąc od jednego do drugiego kapłana. Ale czy to jest bezpieczne ściągać na siebie ogień Ducha w nadmiarze? Apostołowie mieli nad głowami języki ogniste, a nie pożar Ducha – inaczej by spłonęli. Takim ludziom niestety nie chodzi o Jezusa, tylko o podtrzymywanie sytuacji bycia w centrum czyjejś uwagi. Wymarzony akuszer duchowy ma krążyć wokół nich nieustannie z tuzinem chusteczek higienicznych i gotowością do wysłuchiwania godzinami ich burczenia w uducho-

wionym brzuchu. Niestety od czasu do czasu ktoś taki się pojawia. Kiedyś pewna osoba napisała mi w liście takie słowa: „Byłoby cudownie, gdyby ojciec został moim ojcem duchowym. Mogłabym o każdej porze dnia zwierzać się ojcu ze wszystkiego, a ojciec by umiał mnie zawsze zrozumieć. Podaję mój numer telefonu, żeby mógł ojciec do mnie codziennie dzwonić...”.

Zdarzyło się też przed kilku laty, że w klasztornej rozmównicy zasiadła pewna uduchowiona dama, która wyznała, iż jej ambicją jest mieć tylko wybitnych spowiedników, bo jej bogactwo duchowe nie może być powierzone zwykłemu wikaremu. Wielkimi ustami cytowała Małą Tereskę po francusku. Wyliczała nazwiska autorów przeczytanych książek z zakresu życia duchowego. Wymieniła wszystkie zaliczone rekolekcje w zaszczytnych centrach formacji duchowej, przyznała się do kilku przyjaźni z duchowymi liderami, których skupione twarze są często na okładkach cenionych czasopism. Wszystkie te słowa jednak dźwięczały jak orderzy na piersi sowieckiego generała.

Przemawiała do mnie z wysokości swego ideału dając mi do zrozumienia spojrzeniami, jak wielką łaskę mi czyni. Wpatrywała się we mnie szukając oznak wdzięczności i potulnego zobowiązania. Zastanawiałem się, czym ją odczarować? Dłubaniem w nosie, wyznaniem, że nie mam żadnych tytułów, ziewaniem czy obgryzaniem paznokci? Wystarczyło jednak przyznanie się do absolutnej nieznajomości obcych języków. Zapewne sklasyfikowała mnie jako prymitywa. To wielka ulga!

Nawet religię i wszystko, co ona ze sobą niesie można wykorzystywać dla własnej chwały, czyli tylko po to, by poczuć się lepszym, niż się rzeczywiście jest. Ale czy po to istnieje religia, by samego siebie napompować nadmiarem samozadowolenia? Jak długo mogą udawać kopię Ojca Pio albo drugie wcielenie Faustyny Kowalskiej? Rok, dwa, dziesięć?

Chyba żadna sfera ludzkiej aktywności nie jest tak narażona na udawanie, jak właśnie religijność. Złudzenia ulatniają się dopiero wtedy, gdy zderzamy się z przeciwnością, gdy jesteśmy spychani na margines, pomijani albo nawet zlekceważeni.

Istnieje taki obnażający apoftegmat o Abba Antonim: Abba Antoni opowiadał: pewnego dnia siedzieli u Abba Arfata. Przyszła tam pewna dziewczica i rzekła: Ojcze, przepościłam już dwieście tygodni, podczas których jadłam tylko sześć razy. Poznałam Stary i Nowy Testament. Co mam jeszcze czynić? Starzec jej powiedział: Czy nagana jest dla ciebie zaszczycem? Ona odpowiedziała: Nie! Porażka – jak wygrana, obcy – jak rodzice, brak – jak nadmiar? Ona powiedziała: Nie! Starzec stwierdził: Zatem okłamywałaś siebie. Idź pracować, bo nie masz zupełnie nic!

Gdy mnie wyganiają z pierwszego piętra, to widocznie moim poziomem jest parter i tam będę się czuł szczęśliwy. Gdy mnie ktoś opuszcza, to niekoniecznie ja byłem beznadziejny, tylko może ktoś nie umiał we mnie dostrzec nadziei? A być może byłem beznadziejny i oto teraz muszę zastanowić się, gdzie

szukać nadziei! Gdy wszystkie moje wysiłki życiowe zostają zniszczone jak domek z kart, to może dobrze się stało, że tak szybko zostałem pozbawiony naiwnego zaufania do tej talii?

I trzeba się z tym pogodzić, a nie narzekać i potępiać. Nie chcę przez to powiedzieć, że potrzebna nam psychologiczna akceptacja porażki, ale odkrycie zwycięstwa innego rzędu – uwolnienia od fałszu, jaki ukrywa się w przekonaniu, iż satysfakcja z osiągnięcia stawianych sobie samemu celów, jest celem naszego życia. Uwolnienia także od własnych miraży. Nic nie musi się udać według naszych spodziewań. Najlepiej jeśli w ogóle powołanie chrześcijańskie nie przebiega po naszej myśli.

Wycofanie

Do dziś wielu ludzi jest krytycznie nastawionych do pism Teilharda de Chardin. Nieważne, czy się mylił, czy nie, ważne, że poświęcił całe życie i tysiące godzin, by spisać to, co myśli. A kiedy spisał, przełożeni nakazali mu się wycofać i on posłuchał. Akt posłuszeństwa był według mnie o wiele piękniejszym dziełem w oczach Boga, niż to, co on napisał. Zgodził się na przegraną ze względu na Chrystusa. Wycofał się, choć niektórzy teolodzy nie potrafia opuścić pozycji głoszących mimo upomnień Kościoła. Nawet jeśli mają rację, wszystko przekreślają aktem krnąbrnego i zaślepionego uczepienia się swych przekonań. A to się Bogu nie podoba. Uczeń Chrystusa umie się wycofać mimo pewnego zwycięstwa, ze względu na zaufanie do Boga. Czytając o walkach Jozuego, natrafiłem na takie zdanie: „W tym samym czasie Jozue **cofnął się i zdobył** Chasor, a króla jego zabił mieczem; Chasor było niegdyś stolicą wszystkich tych królestw” (Joz 11, 10).

Zdziwiło mnie to wycofanie dla osiągnięcia zwycięstwa! Biblia hebrajska użyła w tym miejscu słowa שׁוּב *szow*, które ma szerokie znaczenie, między innymi określa się nim nawrócenie. Nawrócenie jest umiejętnością wycofania się z błędnej drogi. Żadna droga nie jest tak obłędna, jak ta, w której upatrujemy aleję wyłożoną naszymi racjami, spełnionymi

ambicjami i dyplomowanymi marzeniami. Henri de Lubac czy Yves Congar, choć byli wytrawnymi i uczciwymi teologami, przez lata mieli zabronione nauczać. I to zdaje się, że nie tylko z powodu nawoływania do ubóstwa pierwotnego chrześcijaństwa i porzucenia ducha wielkopańskości Kościoła. Sądzę jednak, że Bóg bardziej im policzył ich wycofanie się z nauczania mimo posiadanej racji, niż cały ich dorobek teologiczny. Po kilku latach, kiedy już opuścili ich obolałe ambicje, przywrócono im możliwość nauczania, a nawet stali się Ojcami Soboru.

Chyba żaden chrześcijanin w ciągu wieków nie poznał wszystkich Pism Świętych na pamięć, oprócz... św. Dydyma Ślepego. Był ślepy, miał absolutnie ograniczone widzenie, a jednak dostrzegał piękno Słowa Bożego jak żaden chrześcijanin o zdrowych oczach! Zapewne mógł narzekać na kalectwo, ale on po prostu je wykorzystał, by widzieć inaczej świat, jakby od **drugiej strony** – od strony Słowa Bożego. Zapewne miliony ludzi oglądało głośny swego czasu film *Matrix*. W decydującym momencie bohater tego filmu – Neo, przestaje już widzieć kształty i barwy, ludzi i domy, dostrzega tylko pasma słów i liczb. Widzi słowa, które tworzą rzeczywistość. Widzi świat od wnętrza. Jest to zwrotny moment w filmie, w którym bohater staje się zwycięzcą. Fizycy tworząc wzory tłumaczące prawa rządzące światem materialnym, formułują je z symboli, z liczb i liter (sic!). Zupełnie jak w Biblii! Kłopot w tym, że to, co widzialne, cały ten świat, staje się dla nas jedynym światem. Filtr pomyliliśmy

ze słońcem. Opakowanie z bogatszym i treściwszym produktem! Kłopot w tym, że wielu z nas jest zapatrzonych w drugiego człowieka bardziej niż w Boga i zasłuchanych w ludzkie zapewnienia o miłości bardziej niż w zapewnienia Boga o umiłowaniu!

Ale czy to naprawdę daje spełnienie? Wyobraźmy sobie, że wszystko, czego pragnęliśmy, spełniło się. „Widzieliśmy siebie jako ludzi urządzonych, podziwianych, w centrum miłego koła przyjaciół i kochanych – może właśnie przede wszystkim kochanych. Ale kiedy staliśmy się dorośli, ze zdziwieniem przekonaliśmy się, że nawet spełnienia, o których marzyliśmy, rozczarowują nas. Sukces, aprobata, miłość, przyjaźń, małżeństwo – to prawdziwe przyjemności, a jednak nie dają satysfakcji. Wciąż tkwi w nas tęsknota za czymś nieosiągalnym...”⁵. Nic nie jest tak rozczarowujące, jak spełnione marzenia. Kiedy osiągamy to, o czym marzyliśmy, nagle w zupełnej bezradności odkrywamy niewydolność dotychczasowych marzeń wobec naszych pragnień.

Ojciec Adalbert de Vogue, pisząc o pierwszym kroku ku nawróceniu Alfonsa Gratry’ego, zapisał słowa przekonujące przede wszystkim swą prostotą. Mając szesnaście czy siedemnaście lat, czyli wtedy, kiedy pojawiają się pytania o sens życia, Gratry, instalując się w internacie licealnym, położył się na łóżku i oddał marzeniom: „Najpierw zobaczył siebie triumfującego na wszystkich egzaminach i konkursach, następnie robiącego karierę prawniczą i polityczną, osiągniętego kolejne sukcesy i zbierającego honory. Jego sen, choć nie całkiem altruistyczny,

był moralny i idealistyczny: bronił w nim wyłącznie słuszných spraw, pracował dla dobra innych, miał żonę i dzieci, które kochał do szaleństwa.

Lecz pomiędzy we śnie widziane wydarzenia wplątał się powracający refren: i co dalej? Wtedy obraz ściemniał się: dalej była emerytura, starość, schyłek i odejście ukochanych osób. Dalej była w końcu śmierć. Doszedłszy do tego miejsca, załamany Gratry dostrzega marność wszystkich sukcesów, o których marzył. Nie wierzy przecież w życie pozagrobowe. Całe jego szczęście jest skazane nieuchronnie na upadek wraz ze śmiercią. Odkrycie to doprowadza go na skraj rozpacz. I wtedy w całej głębi jego bytu rodzi się pełen udręczenia krzyk, jakieś niewyraźne wołanie do Boga, w którego nie wierzył”⁶.

Któż z nas nie zdał sobie pewnego dnia sprawy, że nawet przy najlepszym obrocie losu i tak wszystko straci. Więc po co żyć? Żyje się po to, aby żyć wiecznie. Wieczne życie to życie Boga. By żyć wiecznie, trzeba wejść w życie Boga. Z tego życia należy czynić wszystko, aby uchwycić życie Boga. A przede wszystkim poświęcić wszystko, jeśli taka konieczność zajdzie, by tylko nie utracić życia wiecznego. Być gotowym ze wszystkiego zrezygnować, by nie stracić szansy na tamto życie. Wszystko na tym świecie jest jak piórko – ulotne. Wszystko mija, nawet najwierniejsza miłość i nawet przysięgi kończą się i pozostawiają nas w próżni. Gdy w człowieku dopatrujemy się tego, czego powinniśmy dopatrywać się w Bogu, po jakimś czasie pozostajemy w głodnej pustce. Cóż wtedy?

Oddalamy się w stronę bezsensu i rezygnacji, inercji i zwątpienia, bo od nas się oddalono, bo zostaliśmy porzuceni, bo czyjaś bliskość okazała się zwodnicza. Nie chcę podawać wszystkich przyczyn, dlaczego tak się dzieje, chcę tylko podsunąć skromną odpowiedź ewangeliczną, co wtedy uczynić, aby w pustce, wycofaniu i oddaleniu odnaleźć pełnię innego rzędu. Czy jest możliwe, aby świat był jedynie dla tych, którym się wszystko udaje? Czy tym, którym udało się oprzeć na ludzkiej miłości, na sukcesie zawodowym, na spełnianiu marzeń, na pięknie swojego ciała, na inteligencji i awansach, naprawdę się udało? Kohelet pisze: „Widziałem sługi na **koniach**, a książąt kroczących, jak słudzy, pieszo” (Koh 10, 7). Są ludzie, którzy odniósłszy sukces, czują się poniżeni i osamotnieni, i są tacy, którzy czują się książętami mimo porażki. Wspinając się po szczeblach awansu społecznego, możemy zgubić więź rodziny; zostając przełożonym, możemy stracić przyjaciół; stając się sławnymi i popularnymi, nie możemy sobie pozwolić na bycie sobą; ale bywa i tak, że porzucenie przez żonę czy męża otwiera nas na miłość Boga, a stając się odrzuconymi i pomijanymi, odkrywamy, że nie musimy wreszcie udawać. Kto śpi na podłodze, nie spada z tapczanu; kto zasiada na tronie, odkrywa lęk przed śmiesznością zasiadania! Prawdą jest jednak, że obok Trójcy Świętej rządzi nami nie-święta trójca: bożek prestiżu, bożek władzy i posiadania oraz bożek przyjemności. Marzymy o niej nawet wtedy, gdy oficjalnie uznajemy inne wartości: pokorę, służbę i wyrzeczenie. Moim zdaniem wyrzeczenie nie ma

sensu, jeśli w zamian nie otrzymalibyśmy wspanialszej obietnicy. Czy sensowne jest tylko ofensywne i euforyczne zdobywanie się na realizację kolejnych marzeń, które i tak się rozsypią? Czy istnieje jakaś obietnica Boga w oddaleniu od tego świata, w ograniczeniu swoich marzeń, ambicji, racji? Czy porażka nie jest szansą na refleksję, pogłębienie spojrzenia i odkrycie głębszego sensu? Co z tymi, którym się nic nie udaje? Czy Bóg też ich porzucił i nic już dla nich nie ma? Czy wreszcie sam Jezus nie przeżył oddalenia, wycofania się, odrzucenia na margines? Co wtedy odkrywał? Jak sobie radził z nieudanymi inicjatywami?

Niekiedy trzeba się wycofać, nawet bez słowa, gdy już słowa nic nie wyjaśniają, a pozostanie w dotychczasowej pozycji oznacza obumieranie duszy⁷. Trzeba się wycofać, by uratować swoją niezależność sumienia. Istnieją takie związki, które nazywamy toksycznymi. Trwanie w takiej zależności sprawia, że po prostu zapadamy się w niewolniczą destrukcję egzystencji. Ktoś nas wysysa jak pasożyt, kontroluje, poniża, szantażuje, pogardza, osacza nadopiekuńczością albo nadtroskliwością, drenuje i nazywa to miłością! Jedynym wyjściem jest odejść, aby się uratować. Być może my staliśmy się osaczającymi osobami, obsesorami, choć wierzyliśmy święcie, że kochaliśmy... ale skoro ktoś odszedł, to być może nasza miłość nie była miłością? I trzeba to przyjąć, a nie miotać się w pretensjach. Narzekają ci, którzy szukają wszystkiego, tylko nie Boga, gdyż Bóg czeka przede wszystkim na drodze wyrzeczenia albo utraty.